PRZYJACIEL
DZIECI I MŁODZIEŻY.

„Przyjaciel Dzieci i Młodzieży,“ pismo obrazkowe, wychodzi co tydzień w Chełmnie nad Wisłą. Przedpłata ćwierćroczna wynosi na pocztach 6 sgr. 3 fen. Oznaczony „Przyjaciel Dzieci i Młodziezy,“ w dopełniającym dodatku do Cennika Gazet na r. 1869 na 8 str. na dole, po niemiecku („Veränderungen während des Druckes“) zawierającym zmiany podczas druku Cennika. Na to się trzeba odwołać przy zapisywaniu, gdyby gdzie nie chcieli zapisać. Listy dochodzą pod adresem: Do Redakcyi Przyjaciela Dzieci i Młodziezy, Chełmno (Culm), a przyjmują się tylko frankowane.

Nr. 21 i 22. Chełmno, dnia 29 Maja 1869. **Rok I.**

Kojata.

(Koniec.)

Rozgniewany tém do żywego Czarnoksiężnik, wrzasnął: „Czy on mnie myśli na dudka wystrychnąć! Wyłamcie drzwi, i tu mi go przywleczcie!“

W mgnieniu oka wyleciały drzwi podważone, a ślina w głoś się rozśmiała. Czernuch ledwie nie pękł ze złości, postrzegłszy próżną komnatę i wydał rozkazy do pogoni.

Cały pułk złych duchów rozbiegł się wszystkiemi drogami. Wtedy szepnęła Welena na ucho Milanowi: „Słyszę ja zdala tętent końskich kopyt!“

Milan zeskoczył z konia, przyłożył ucho do ziemi i rzekł: „Prawda! gonią nas, gonią i są tuż za nami!“

Welena pomruknąwszy kilka słów tajemniczych, zmieniła się natenczas w rzekę. Milana zamieniła w most żelazny, a konia w kruka.

Gdy pogoń dotarła do mostu, stanęła nagle jak wryta, bo daléj tropu nie było; a za mostem trzy drogi, na trzy się strony krzyżują. Co tu począć? Trudna rada, trzeba z niczem powrócić!

Czernuch wołał już z daleka do powracających: „Półgłówki! oszukano was; ten most i owa rzeka, to byli oni sami; daléj za niemi na nowo; albo was ukamienować każę!“ W téj saméj chwili szepnęła piękna Welena Milanowi: „Słyszę tętent końskich kopyt!“ Milan zeskoczył z konia, przyłożył ucho do ziemi i rzekł: „Gonią nas i są tuż za nami!“

Bez zwłoki więc zamieniła Welena siebie, Milana i konia w gęstą i ponurą knieję, z tysiącem krętych ścieżek. W niéj zdało się ścigającym, jak gdyby przed sobą widzieli dwóch jeźdźców; a goniąc za niemi, tak się zbłąkali w bezdrożach, że powrócili na miejsce, kędy się schodzi do podziemnych krain Czernucha. Wtedy dopiero knieja, ścieżki i jeźdzcy jak sen przed nimi zniknęli.

Sam Czernuch wsiadł tedy na swego karosza, a Welena szepnęła znowu drżącym głosem: „Biada nam! Czernuch, mój ojciec, nas goni! Ale przy pierwszym kościele kończy się jego władza i potęga. Podaj więc krzyż twój Milanie!“

Posłuszny królewicz, oddał swój złoty krzyżyk, któren mu matka królowa na piersi zawiesiła. Ledwo go ręką dotknęła Welena, zamieniła siebie w klasztor, Milana w mnicha, a cisaka w dzwonnicę.

Szczęściem, że się pospieszyła; bo już Czernuch stał przed klasztorem. „Czy nie widziałeś tu ojcze! dwóch jeźdźców uciekających?“ zapytał się mnicha.

„Właśnie,“ odpowiedział zapytany, „wyruszył od nas z popasu królewicz Milan i piękna Welena i kazali cię uprzejmie pozdrowić!“

„„Niech sobie jadą na złamanie karku!““ wrzasnął Czernuch zsiniały od gniewu, powrócił z kwitkiem do domu i dostał ze zmartwienia żółtaczki.

Milan zaś i piękna Welena zdążyli bezpiecznie do stołecznego miasta króla Kojaty, który im wkrótce sute wyprawił wesele. Zaproszono na nie wielu zacnych gości, między innymi mnie także. Bawiliśmy się wszyscy wybornie; piwa, miodu, wina było do zbytku, a jednak nikt nie lał na kołnierz!

Dwaj mali górale.

Powiastka przez A. J.

— Spiesz się mój Jasiu! wołał dwunastoletni góral imieniem Józefek, na młodszego o rok braciszka, pospieszaj! a najdaléj za kwandrans staniemy w Warszawie.

— Próżno na mnie wołasz; taki jestem zmęczony i strudzony, że już iść nie mogę. Zresztą głód i pragnienie ciężko mi dokucza. Ach żeby to choć kawałeczek chleba.

— Józefek przetrząsnął natychmiast wszystkie kieszonki i znalazłszy kilka niedojedzonych kawałków zeschłéj bułki, podał ją strudzonemu bratu.

— Posil się tą odrobiną; byleśmy przed zachodem słońca do miasta dostać się mogli. O mnie się nie bój, ja silniejszy, lepiéj umiem chodzić. Mój Boże biedni my górale, jałowa ziemia górska nie może nas wyżywić, więc trzeba kawałka chleba szukać po obcych krajach, wśród ludzi nieznanych, o chłodzie i głodzie; bez grosza i przytułku tyle mil wędrować. Ale co ja mówię, nie już na siebie, ale na biedną matkę chorą staruszkę pracujemy, w nas dwojgu jedyną ma nadzieję lepszéj przyszłości, a tymczasem koza nasza i skoczne tony dadzą nam sposób do życia, dopóki nie nauczymy się w lepszy sposób pracować. Znajdą się przecież ludzie, którzy nas do siebie przyjąć zechcą.

Słowa te tak dalece pokrzepiły Jasia, że się podniósł z ziemi i wszystkich dobywszy sił, ruszył za bratem: Ale bo któreż dziecko jest obojętném na niedolę matki? któreż dziecko nie odmówiłoby sobie najmilszych rozkoszy, by ulżyć rodzicom? Takiemi zajęci myślami, spieszyli młodzi gorale ku Warszawie. Tylko Jaś stawał raz po raz, narzekając to na utrudzenie, to na los opuszczonéj matki.

— Co téż robi w téj chwili matka nasza? powtarzał Jaś; o téj porze zwoływał nas dzwonek kościelny do domu na pacierze wieczorne, a dziś strapiona matka w smutku i tęsknocie sama odmawia pacierze! . . Ach czemuż nie mogę usłyszeć dzwonka rodzinnego!

Głośne te skargi przerwał głos wielkiego dzwonu, którego wolne i poważne uderzenia roznosiły dźwięczny odgłos na wszystkie strony Warszawy.

— A więc i tu są dzwony! zawołał z radością Jasio, a głos ich jest prawie ten sam co i u nas. Z każdym dźwiękiem dzwonów przypominać sobie będziemy chwile wieczornych gawęd przy domowém ognisku, gdzieśmy tyle chwil wesołych spędzili. Dziś, mój Boże między obcymi błąkać się musimy, nie wiedząc, z kim pomówić lub kogo o radę zapytać. Ale pewnie i tu są ludzie tak dobrzy i uczciwi jak i u nas; może i tu znajdziemy pracę i opiekę. . .

— O! znajdziemy, pewnie znajdziemy, przewał Józefek, który jako starszy wiekiem miał więcéj odwagi i zaufania do ludzi! Przecież Pan Bóg czuwać będzie nad nami; ludzie nas nie opuszczą. Spieszmy się tylko, bo się już ściemniać zaczyna:

Jeden i drugi zapomniał w téj chwili o znużeniu. Był wieczór, gdy weszli do miasta. Widok Warszawy wprawił ich w osłupienie. Długo biegali bez celu po mieście wśród tłumów ludzi i wozów. Nie wiedzieli co wprzódy podziwiać, czy olbrzymie domy postrojone w złocone napisy i figury, czy bogate sklepy jaśniejące tém jaskrawiéj przy oświetleniu gazowém, czy patrzeć się na tłumy ludzi spieszących w tę i ową stronę, czy gonić za szparkiemi pojazdami, których nieprzerwane snuły się pasma po ulicach miasta. Biegając bez namysłu z ulicy w ulicę, z bramy do bramy, uczuli w końcu strudzenie, głód i pragnienie.

— Któż nam tu da przytułek? zapytał znużony Jaś; gdzież przenocujemy?

— Tyle tu jest domów, że przecież ktokolwiek da nam przytułek. U nas na wsi ledwie jest kilkadziesiąt domów, a jednak każdy podróżny choćby i najuboższy znajdzie schronienie. Pójdziemy ot tam! rzekł po chwili Józefek, w tak wielkim domu znajdzie się i dla nas miejsce.

— Mój panie! ozwał się Józefek, do mężczyzny stojącego w bramie przepysznéj kamienicy, pozwól nam tu się przenocować, na tę tylko noc jedną. Umiem pięknie grać i tańcować to. . .

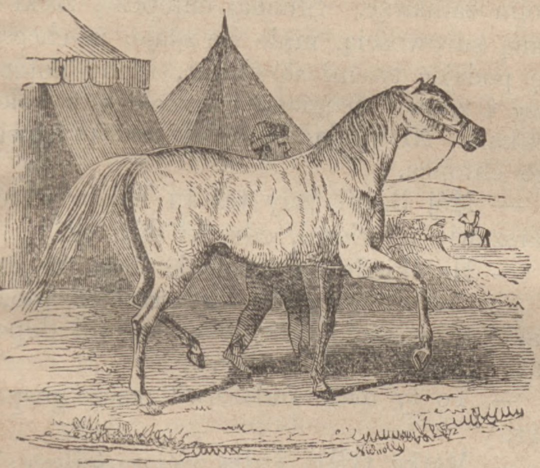
— Precz ztąd próżniaku! wrzasnął odźwierny, a cóż to, czy myślicie, że ten pałac to karczma. Ruszajcie sobie daléj, jeżeli niechcecie oberwać po grzbiecie!

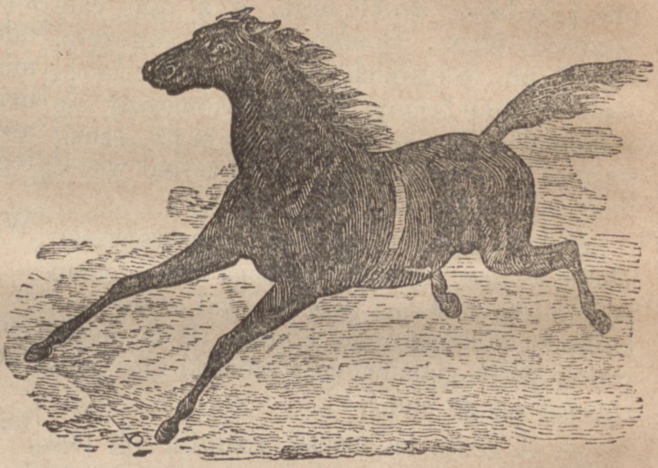
Józefek który zamyślał właśnie rozpocząć skoczne tany, zaciął usta na te słowa odźwiernego, i porwawszy brata za rękę, powiódł go natychmiast na drugą stronę ulicy.

— Nie płacz Jasiu, może po téj stronie ulicy znajdzie się uczciwsze serce. Ach! jakiż zły człowiek, rzekł z cicha do siebie, jak można tak krzyczeć na biedaków, proszących pokornie o nocleg!.... Jasiu! odezwał się nagle, zagrajno, a poskaczę tu przed bramą; zdaje mi się, że ci ludzie są lepsi, bo jakoś miłosiernie spoglądają.

Ale i ta próba spełzła na niczém. Przeszły setki przechodniów, popatrzył się ten; i ów na skaczącego Józefka, ale nikt nie ulitował się nad niemi. Biednemu Józefkowi ćmiło się w oczach; zdawało mu się że to nie ludzie, ale martwe postacie migały mu przed oczyma.

że z przysługi téj odpadnie dla niego kilka groszy, któremi zdoła sobie odkupić przytułek na noc, ile, że Jasio ze zbytniego znużenia, już prawie o własnych siłach stać nie mógł. Nie dawszy sobie nawet tyle czasu, iżby się przypatrzyć nieznajomemu, pobiegł jak strzała do najbliższego sklepiku, żądając drobnéj monety za ową pięciorublówkę. Ale nie tak prędko pokwapił się przezorny kupiec. Spozierając z pod oka to na niego, to na pieniądz, pochwycił nagle na włosy Józefka, tak gwałtownie nad nim pastwić się zaczął, że chłopiec z całego gardła krzyczał o pomoc. Zbiegły się niebawem tłumy ciekawéj gawiedzi, wciskano się do sklepu,





Konie.

Tymczasem noc nadeszła, a o przytułku mowy być nie mogło. Powoli domy zamykać się zaczęły, przygaszono tu i owdzie światła, i tylko mniejsze sklepiki stały otworem.

Nagle w chwili największego zwątpienia, zjawia się jakiś nieznajomy przed rozpaczającym Józefkiem.

— Słuchaj chłopcze! masz tu pięciorublówkę; idź do sklepu i zmień mi ją na drobną monetę, a za dobre chęci wynagrodzę cię sowicie. Pospiesz się jeśli możesz jak najprędzéj!

Józefek, który po raz pierwszy zoczył pięciorublówkę, nie posiadał się z radości, pytano i badano wrzaskliwie o powody napaści na bezbronnego chłopczyka, ale dla zbytecznego zamięszania nie można się było prawdy dowiedzieć. W natłoku i wrzawie słychać było tylko krzykliwe wyrazy i złorzeczenia kupca:

— Ha! raz przecież udało mi się chwycić oszusta, który już po kilkakroć podszedł mię fałszywą monetą, wydając przy świetle wieczorném podrobiony pieniądz; z drogi! wołał, puszczajcie mię, trzeba go zaprowadzić do policyi, czekaj kochaneczku, nauczą cię tam pieniądze fałszować!

Naprożno Józefek starał się wytłumaczyć, naprożno błagal i zaklinał przyto-

innych, aby się za nim wstawili; nikt nie śmiał mięszać się do sprawy któréj początku nikt też znać nie mógł. Zapalczywy kupiec wyciągnął przemocą Józefka na ulicę, i zwoławszy milicyantów oddał go im, dopominając się surowéj kary.

Dopiéro za pośrednictwem któregoś z przechodniów zdołał Józefek odetchnąć z przerażenia i wytłumaczyć się z przebiegu téj sprawy. Zaczęto szukać po ulicach owego nieznajomego, który mu doręczył fałszywą pięciorublówkę, ale nadaremnie. Tymczasem rozeszły się ciekawe kupki widzów, pozostał tylko sam Józefek, szukając rozpaczliwie Jasia. Wołał po imieniu, pytał przechodniów, ale wszystko to na nic się nie przydało. Znikł brat, a z nim całe szczęście jego. Dopóki mu sił starczyło, szukał po wszystkich ulicach i uliczkach, zaglądał pod bramy, lecz przekonawszy się o niepodobieństwie odszukania brata, rzucił się pod bramę jakiegoś domu, i zasnął wśród łkań i płaczu.

Ileż trzeba było zdrowia i czerstwości; ażeby w noc jesienną przespać kilka godzin pod gołém niebem! Józefek spał aż do rana pomimo dokuczliwego zimna. Była mniéj więcéj piąta godzina, gdy szorstki głos jakiś zbudził go ze snu.

— A cóżto za urwisz rozłożył się pod mojém oknem! odezwał się stary mężczyzna wychylając się przez okno. Zkądże się tu przybłąkałeś? Jak widzę wolisz się włóczyć, żebrać i spać pod gołem niebem, aniżeli pracować uczciwie na kawałek chleba. Ruszajże precz, takich żebraków mamy tu aż nadto.

Biedny Józefek nie wiedział co począć ze wstydu na zarzuty nowego nieprzyjaciela. Nie pojmował, jak mu można było zabraniać przytułku pod gołém niebem, wśród zimnéj i słotnéj nocy.

— Proszę pana! odparł wreszcie Józefek, gdy mu gospodarz coraz ostrzéj dokuczać zaczął; nie jestem żebrakiem owszem chętnie chcę pracować.

— Ba! ba! zawołał gniewnie, każdy z was umie pięknie gadać; ale mnie układném słówkiem w pole nie wyprowadzisz.

— O nie panie! odpowiedział chłopczyk; nastręcz mi tylko robotę, pokażę panu, że pracować umiem. Za jeden dzień przekona się pan, że ja jestem uczciwy chłopak. Przyjmij mnie do usług jakichbądź, do posyłek, do pilnowania sklepu, lub towarów, przyjmij do czego się spodoba, a przekonasz się, że niesprawiedliwie mię obwiniasz.

Stanowczość Józefka, przytomność umysłu i zapał z jakim te słowa wymówił, udobruchały gospodarza.

— Hm! mruknął stary, kto wie? może chłopiec tu przydałby mi się do posług. Warto się przekonać, jak dalece obstaje przy swoim zamiarze. Słuchaj chłopcze, rzekł z udaną surowością, mnie się zdaje, że chcesz mię podejść twemi słówkami, ażeby potém uciec i znowu drugiego i trzeciego z kolei oszukać. Niewyglądasz wcale na pracowitego chłopca.

— Mój Boże, jacy też tu ludzie w téj Warszawie niewierni, odrzekł Józefek.

— Ha! kiedy mię pan nie chce przyjąć, to już ja sobie pójdę, a przecież może znajdę litościwego człowieka, co mi dopomoże zarobić i na matkę...

— To ty masz rodziców? rzecze gospodarz.

— Matkę tylko, i dla niéj puściłem się w drogę.

— Hm! mruknął stary, to całkiem co innego; warto mu dopomódz i zwłaszcza teraz gdy mnie odbiegł dawny mój uczeń, a potém dodał:

— Może masz chęć uczyć się piekarstwa, potrzebny mi jest chłopiec w twoim wieku.

— Niechaj Bóg panu wynagrodzi! z chęcią będę pracował, i wszystko zrobię co tylko pan każesz — ale ja tu mam przytułek i kawał chleba, a biedny Jaś... gdzie on się obraca.

I począł opowiadać o wczorajszym przypadku, a gdy mówił o zniknięciu brata łzy potoczyły się z oczu Józefka.

Nie wzruszyło to bardzo starego piekarza. Ze zmienionych nagle rysów twarzy

widać było najoczywiściéj, że się przeliczył w rachubach; dotąd współczucie jego dla Józefka było czystém obliczeniem zarobku, gdy tymczasem musiałby się troszczyć i o brata Józefka. To go więc zraziło w pierwszéj chwili, i zamiast litować nad chłopcem, począł mruczyć i stękać. Po długim jednakże namyśle i po obliczeniach postanowił przyjąć Józefka za ucznia piekarskiego, licząc na to, że za nim się brat odnajdzie, zrobi na chłopcu tyle, że połową tego zdoła zaspokoić wydatki na młodszego brata.

W końcu i Józefek uspokoił się nieco, zwłaszcza gdy mu przyszły pan jego perswadować zaczął, że Warszawa to nie wioska, że więc nie prędko może mieć nadzieję odnajdzenia zbłąkanego brata. Zresztą dodał stary, być może że chodząc z pieczywem po mieście spotkasz się z bratem.

Ostatnie te słowa uspokoiły Józefka. Jakaś myśl szczęśliwa przebiegła mu przez głowę — i w godzinę potém siedział chłopak pełen zadowolenia za stołem na którym stosy ciast i bułek spoczywały. Ubiór jego był nieco pocieszny, gdyż nietylko był wynoszony i pełen pstrokatych łatek, ponaszywanych w gzygzaki na połach i rękawach, ale co gorsza, za ciasny i za krótki. Byłto ubiór po jego poprzedniku. Józefek wyglądał w nim jak dziwoląg.

Bądź jak bądź, Józefek czuł się o tyle szczęśliwym że pracując na siebie, mógł pracować i na matkę. Prawdę mówiąc oprócz dziennéj strawy, żadnych nie pobierał zasług. Cały jego zarobek składał się z ubocznych datków od osób, którym zanosił codziennie świeże ciasta. Nic zatém dziwnego, że z groszem uzbieranym w najgodziwszy sposób, ukrywać się musiał przez chciwym piekarzem. Odtąd wyraz twarzy Józefka stawał się coraz jaśniejszy i weselszy, i pomimo uciążliwéj pracy rosły w nim chęci dalszego kształcenia się w tym zawodzie. Jadł z apetytem, spał dobrze, uwijał się szparko, śpiewał i gwizdał, gdy drugim praca jego mozolna się wydawała. Był sobie jedném słowem, czerstwy i rzutki chłopiec, gotowy w każdym razie do wypełnienia wszelkich zleceń. To też i stary piekarz zaczął być względniéjszy na wiek Józefka, dawał mu od czasu do czasu lżejsze zlecenia, nieraz bywało i bułkę podał w nagrodę za dobre chęci; a byłto niepospolity dowód łaski starego skąpca.

Tymczasem Józefek zbierał zwolna ale niecierpliwie grosz do grosza. Już i kieska urosła i było w niéj coś około czterdziestu złotych! co to za ogromna suma dla chłopca, który przed kilku miesiącami nie marzył o dziesięciu złotych, czterdzieści złotych! co to za miła i słodka pomoc dla matki, co to za zdobycz dla biedy i nędzy! . . . Codziennie prawie przeliczał swój skarb, ciesząc widokiem tak mozolnie i uczciwie zaoszczędzonych pieniędzy.

Skarb Józefka byłby się mógł znacznie powiększyć, gdyby był chciał korzystać z wszystkiego tego, co mu się nastręczało. Mieszkała w tym samym domu, gdzieś na trzeciem piętrze, jakaś stara babinka, któréj codziennėm zajęciem były plotki i obmawianie ludzi po mieście. Nikomu nie przepuściła każdy musiał przejść przez młynek złośliwych jéj ust, każdemu coś zarzuciła, o wszystkich wiedzieć, wszystkich ganić chciała, jednėm słowem: cała ulica na któréj mieszkała, stała pod jej nadzorem. A ponieważ miała dostatki tego rodzaju, że obok wydatków na życie, pozostał się grosik jeden i drugi, ściągała zatém łatwowierniejszych do siebie i za każde nowinki bułką lub groszem się opłaciła. Poprzednik Józefka lubił korzystać z łaski Korduli, natomiast Józefek niechciał się trudnić tém brzykiem rzemiosłem i odrzucił przynęty i obietnice. Niezrażona tém starucha pokoju mu niedawała, i co chwila zagadywała o różne osoby do których chłopiec zanosił pieczywo, ale Józefek milczał jak ryba i unikał jéj starannie; wiedział dobrze, że obmowy i plotki dużo robią złego, którego później niczém naprawić nie można.

W całym domu jedna tylko osoba podobała się góralowi: był to skromny lokator czwartego piętra miłych i skromnych rysów twarzy, grzeczny dla każdego, ale tak dalece

milczący, że oprócz zwyczajnego „dzień dobry“ i „dobry wieczór“ rzadko kiedykolwiek słyszano inne słowo. Po ubiorze znać jego było niedostatek, a może tylko skromność i oszczędność; dość, że bogatsi mieszkańcy tego domu, a pomiędzy nimi pan majster Józefka, niechcieli się z nim wdawać. Człowiek ten, znany pod imieniem pana Emila, tak dalece tajemniczością się osłaniał, że nawet Kordula z trzeciego piętra nie mogła najdrobniejszéj zasięgnąć o nim nowinki, i dla tego go znienawidziła. Jeżeli kiedykolwiek to nateraz wszystkich używała sposobów, ażeby przez Józefka zaspokoić swą ciekawość. Obietnice sypały się jak grad pieniądze, bułki, cacka i obrazki podsuwała kolejno Józefkowi; ale podobno on sam tyle wiedział o panu Emilu, co i ona. Z odrębnego nieco obchodzenia się pana Emila z Józefkiem wnioskowała, że jakiś stosunek przyjaźni pomiędzy niemi zachodzić musi. Tymczasem rzeczy inaczéj stały. Pan Emil polubił Józefka dla jego łagodności i uprzejmości; poznał, że to uczciwy i godny chłopiec i tylko brak mu wykształcenia, aby wyjść na człowieka. Z temi myślami jednak przed nikim się nie zwierzał.

Józefek polubił także pana Emila, nie wypytywał się nikogo o stosunki jego, ale przylgnął całém sercem do lokatora. Nie minął jeden dzień, izby go Józefek nie przywitał grzecznie, to samo czynił i mieszkaniec czwartego piętra. Uczciwe te serca rozumiały się wzajemnie.

Dzięki zawistnym plotkom staréj nowiniarki, piekarz Józefka dowiedział się o znajomości pana Emila i Józefka.

— Zkądże ty masz znajomości z tym jegomością unikającym ludzi, z tym dziwakiem co do nikogo nie przemówi słowa. Z czego on żyje, kto to wie, może to jaki złoczyńca? . . Oho mój chłopcze, jeżeli chcesz być u mnie, to ani się waż wdawać z tym golcem, ja tego nie chcę. Rozumiesz? Pamiętaj że jeżeli raz zobaczę cię z Emilem: to pójdziesz sobie na cztery wiatry, a jak ja cię wypędzę to tamten ci jeść nie da, bo sam nie ma co do gęby włożyć.

Łatwo sobie wyobrazić boleść Józefka. Niemógł pojąć dla czego cały niemal dom nielubił pana Emila. Niemogąc ścierpieć plotek rozsiewanych o nim, częstokroć bronił swego znajomego, ale piekarz podburzony przez starą Kordulę, surowo mu zakazał odzywać się w tym przedmiocie.

Nagły przypadek zbliżył skromnych przyjaciół do siebie. Pan Emil był człowiekiem nie pierwszéj młodości, a bladość twarzy jego świadczyła o wątłem zdrowiu. Józefek ubolewał skrycie nad przykrém położeniem swego przyjaciela: potrzeba było tylko jednego słówka, a Józefek byłby go wyręczył raz na zawsze w posłudze domowéj.

Dnia jednego nad wieczorem usłyszał Józefek gwałtowny łoskot na schodach pierwszego piętra. Jakby w przeczuciu jakiego nieszczęścia, wybiegł do sieni, i któż opisze przerażenie jego, gdy u wejścia schodów zastał pana Emilia jęczącego boleśnie i mocno krwią zbroczonego. Biedny Józefek nie wiedział co czynić: czy biedz po lekarza, czy wołać o pomoc; a o radę pana Emila pytać nie mógł, gdyż ten leżał bez przytomności. Zdecydował się na pierwsze. Pobiegł jak kula do cyrulika w pobliżu mieszkającego, i opowiedziawszy mu pokrótce bolesny wypadek pana Emila, ubłagał go w końcu, że się udał z nim do domu piekarza. Zastał pana Emila w lepszym nieco stanie: twarz jego rozjaśniłe się na widok zacnego chłopca. Przy pomocy cyrulika i Józefka zawlókł się do swego pokoju i po opatrzeniu ran ze stłuczenia pochodzących, zasnął lekkim snem.

Józefek nie posiadał się z radości, że mu się udało przysłużyć panu Emilowi, którego z całéj duszy pokochał. Z radosną twarzą powrócił do piekarni, ale piekarz, zamiast pochwały, wymyślał.

— Gdzieżto się włóczyłeś, próżniaku, nieponiu!? . .

(Dokończenie nastąpi.)

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Chełmnie. Druk H. F. Boeniga w Gdańsku.